

Spotkania z wielbłędami

Trzykrotnie spotkałem się z wielbłędami i za każdym razem spotkanie kończyło się tragicznie.

– Muszę ci pokazać targ wielbłędów – powiedział mój przyjaciel wkrótce po przybyciu do Marrakeszu. – Odbywa się co czwartek przed południem pod murami przy bramie Bab el-Khemis. To dość daleko, po drugiej stronie murów miejskich, najlepiej cię zawiozę.

Nadszedł czwartek i ruszyliśmy na targ. Było już późno; kiedy dotarliśmy do dużego, pustego placu pod murem miejskim, zrobiło się południe. Na placu nie było już prawie nikogo. Na drugim jego końcu, kilkaset metrów od nas, stała grupa ludzi, ale nie widzieliśmy wielbłędów. Było tam tylko trochę małych zwierząt, którymi okazały się osły; i tak widywało się ich w mieście mnóstwo. Dźwigały ciężary i tak źle je traktowano, że wcale nie chciałem na nie patrzeć.

– Przyjechaliśmy za późno – powiedział mój przyjaciel. – Targ wielbłędów już się skończył.

Podjechał samochodem aż na środek placu, żeby mnie przekonać, iż naprawdę nie ma już co oglądać.

Ale zanim zdążył się zatrzymać, zobaczyliśmy, jak nagle rozbiega się grupa ludzi. Wśród nich stał wielbłąd na trzech nogach, z czwartą podwiązaną. Na pysku miał czerwony kaganiec, przez nozdrza przeciągnięto mu sznur; jakiś mężczyzna, trzymający się dość daleko od niego, usiłował go ciągnąć za sobą. Wielbłąd podbiegł kawałek naprzód, potem zatrzymał się i niespodziewanie podskoczył w górę na swoich trzech nogach. Jego ruchy były równie nieoczekiwane, co niesamowite. Mężczyzna, który miał go prowadzić, za każdym razem się poddawał; bał się podejść zbyt blisko do zwierzęcia i nie był pewny, co ono za chwilę zrobi. Ale po każdym zaskakującym ruchu wielbłąda znowu zaczynał ciągnąć sznur i udawało mu się bardzo powoli wlec zwierzę w pożądanym kierunku.

Zatrzymaliśmy się i opuściliśmy szybę samochodu; otoczyły nas zebrzące dzieci, ich głosy proszące o jałmużnę zagłuszał krzyk wielbłąda. Raz zwierzę z taką siłą skoczyło w bok, że ciągnący je mężczyzna zgubił sznur. Ludzie, którzy trzymali się w pewnej odległości od nich, rozbiegli się. Powietrze wokół wielbłąda było naładowane strachem; najbardziej bał się on sam. Wielbłądnik popędził kawałek za nim i błyskawicznie pochwycił sznur, który włókł się po ziemi. Wielbłąd płynnym ruchem skoczył w bok, ale już nie zdołał się wyrwać; wielbłądnik powłókł go dalej.

Mężczyzna, którego wcześniej nie zauważyliśmy, odsunął dzieci otaczające nasz samochód i wyjaśnił nam łamaną francuszczyzną:

– Wielbłąd ma wściekliznę. Jest niebezpieczny. Prowadzą go do rzeźni. Trzeba bardzo uważać. – Zrobił poważną minę. Pomiędzy jego zdaniem słyhać było krzyk wielbłąda.

Podziękowaliśmy mężczyźnie i odjechaliśmy smutni. Przez kilka następnych dni często rozmawialiśmy o wściek-

łym wielbłądzie, którego rozpaczliwe ruchy wywarły na nas głębokie wrażenie. Pojechaliśmy na targ, mając nadzieję, że zobaczymy tam setki tych łagodnych, bogatych w krzywizny zwierząt. Ale na ogromnym placu spotkaliśmy tylko jednego jedyne wielbłąda, na trzech nogach, związanego, w jego ostatniej godzinie, i podczas gdy on walczył o życie, my odjechaliśmy.

Kilka dni później przejeżdżaliśmy obok innego fragmentu murów miejskich. Był wieczór, czerwony blask na murze powoli gasł. Patrzyłem na mur tak długo, jak się tylko dało, i rozkoszowałem się stopniową zmianą jego barwy. Nagle w cieniu muru zobaczyłem dużą karawanę wielbłądów. Większość z nich klęczała, niektóre stały; mężczyźni w turbanach na głowach krążyli pośród nich, gorliwie, a jednak spokojnie; dawało to obraz łagodnego zmierzchu. Kolor sierści wielbłądów zlewał się z barwą muru. Wysiedliśmy z samochodu i wmieszciliśmy się pomiędzy zwierzęta. Mniej więcej po tuzinie wielbłądów klęczało w kręgu wokół gór pożywienia. Wyciągały szyje, nabierały paszę do pyska, odrzucały głowy w tył i spokojnie żuły. Przyjrzelśmy się im dokładnie: wielbłądy miały twarze. Były do siebie podobne, a jednak bardzo się między sobą różniły. Przypominały stare Angielki, z godnością i pozornym znudzeniem pijące herbatę, ale niemogące całkowicie ukryć złośliwości, z jaką obserwują wszystko wokół.

– To jest moja ciotka, rzeczywiście – powiedział mój angielski przyjaciel, któremu taktownie zwróciłem uwagę na podobieństwo wielbłądów do jego rodaków; wkrótce odszukaliśmy wśród zwierząt kilkoro innych znajomych. Byliśmy dumni, że znaleźliśmy karawanę, o której nikt nam przedtem nie powiedział; naliczyliśmy sto siedem wielbłądów.

Podszedł do nas młody chłopak i poprosił o datek. Jego twarz miała kolor ciemnego granatu, podobnie jak jego szata. Był poganiaczem wielbłądów i sądząc z jego wyglądu – jednym z „błękitnych ludzi”, mieszkających na południe od Atlasu. Powiedziano nam, że kolor ich szat przenosi się na skórę i wszyscy ci ludzie, mężczyźni i kobiety, są niebiescy; jedyna błękitna rasa. Próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć o karawanie od młodego poganiacza, który był nam wdzięczny za otrzymaną monetę. Ale chłopak znał jedynie kilka słów po francusku; powiedział, że przybyli z Guliminu i są w drodze od dwudziestu pięciu dni. Tylko tyle zdołaliśmy zrozumieć. Gulimin leżał daleko na południe, na pustyni; zadawaliśmy sobie pytanie, czy karawana wielbłądów przebyła Atlas. Chętnie dowiedzielibyśmy się również, jaki jest cel ich podróży, bo nie wyglądało na to, żeby był właśnie tu, pod murami miasta; wydawało się, że zwierzęta posilają się przed dalszą drogą.

Ciemnobłękitny chłopak, który nie potrafił nam nic więcej wyjaśnić, starał się coś dla nas zrobić i zaprowadził nas do szczupłego, wysokiego starca w białym turbanie, traktowanego z respektem przez pozostałych wielbłądników. Starzec mówił dobrze po francusku i płynnie odpowiadał na nasze pytania. Karawana przybyła z Guliminu i rzeczywiście od dwudziestu pięciu dni była w drodze.

– Dokąd zmierzacie?

– Zostajemy tutaj – odpowiedział. – Sprzedamy tu wielbłądy na mięso.

– Na mięso?

Obaj byliśmy poruszeni, także mój przyjaciel, który w swojej ojczyźnie był zapalonym myśliwym. Myśleliśmy o dalekiej wędrówce zwierząt, o ich pięknie w świetle zmierzchu, o ich nieświadomości i spokojnym posiłku; może też o ludziach, których nam przypominały.

– Tak, na mięso – powtórzył starzec; jego głos miał w sobie coś chropowatego, niczym wyszczerbiony nóż.

– Czy tu się jada dużo mięsa wielbłądów? – zapytałem. Chciałem ukryć swoje poruszenie, zadając rzeczowe pytania.

– Bardzo dużo!

– Jak ono smakuje? Nigdy jeszcze nie jadłem mięsa z wielbłąda.

– Nigdy pan nie jadł wielbłądziego mięsa? – Starzec wybuchnął ironicznym, cienkim chichotem i powtórzył: – Naprawdę nigdy pan nie jadł wielbłądziego mięsa?

Było jasne, że myślał, iż dają nam tu wyłącznie mięso z wielbłądów, i zachowywał się bardzo protekcyjnie, jakby przymuszał nas do jego jedzenia.

– Jest bardzo dobre – powiedział.

– Ile kosztuje wielbłąd?

– Rozmaicie. Od trzydziestu tysięcy do siedemdziesięciu tysięcy franków. Mogę panu jednego pokazać. Muszą go panowie zobaczyć.

Zaprowadził nas do bardzo pięknego zwierzęcia o jasnej sierści i dotknął je laseczką, którą dopiero teraz zauważyłem.

– To dobre zwierzę. Warte siedemdziesiąt tysięcy franków. Sam właściciel na nim jeździł. Mógłby go używać jeszcze przez długie lata. Ale wolał je sprzedać. Za te pieniądze może kupić dwa młode wielbłądy, rozumieją panowie?

Rozumieliśmy.

– Przybył pan z karawaną z Guliminu? – zapytałem.

Odrzucił to przypuszczenie z pewną irytacją.

– Jestem z Marrakeszu – powiedział z dumą. – Kupuję wielbłądy i sprzedaję je rzeźnikom.

Dla mężczyzn, którzy zrobili taką długą drogę, miał tylko pogardę. O naszym młodym błękitnym wielbłądniku powiedział:

– On nic nie wie.

Chciał się jednak dowiedzieć, skąd pochodzimy; dla uproszczenia powiedzieliśmy obaj:

– Z Londynu.

Uśmiechnął się, lekko zirytowany.

– Byłem na wojnie we Francji – powiedział. Jego wiek wskazywał na to, że była to pierwsza wojna światowa. – Walczyłem razem z Anglikami. Nie mogłem się z nimi porozumieć – dodał szybko i trochę ciszej. – Ale dzisiaj wojna nie jest już wojną. Nie liczy się człowiek, tylko maszyna. – Powiedział jeszcze kilka zdań na ten temat, w bardzo zrezygnowanym tonie. – To już nie jest wojna – powtórzył.

Przyznaliśmy mu rację i chyba dlatego nam wybaczył, że pochodzimy z Anglii.

– Czy wszystkie zwierzęta zostały już sprzedane? – zapytałem jeszcze.

– Nie. Wszystkich nie uda się tu sprzedać. Te, które zostaną, pójdą dalej, do Settat. Znają panowie Settat? To w kierunku Casablanki, sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Tam jest ostatni targ wielbłądów. Tam sprzedaje się resztę.

Podziękowaliśmy mu. Pożegnał nas bez namaszczenia. Nie chodziliśmy już więcej między wielbłędami, straciliśmy na to ochotę. Było już prawie ciemno, kiedy opuściliśmy karawanę.

Nie mogłem pozbyć się obrazu zwierząt. Myślałem o nich z szacunkiem, ale zarazem tak, jakby od dawna były mi bliskie. Wspomnienie ich ostatniego posiłku skazańców łączyło się z zapamiętaną rozmową o wojnie. Chcieliśmy w następną czwartek znowu pojechać na targ wielbłądów, z samego rana, może mieliśmy nadzieję, że tym razem ujrzymy mniej ponury obraz ich egzystencji.

Ponownie zajechaliśmy pod bramę Bab el-Khemis. Zastaliśmy niezbyt wiele zwierząt; gubiły się na wielkim placu, który trudno byłoby wypełnić. Po jednej stronie placu znajdowały się osły. Nie poszliśmy do nich, lecz pozostaliśmy przy wielbłędach. Stały w grupkach, po trzy lub cztery sztuki; kilka młodych wielbłądów stało samotnie obok matek. Z początku wszystkie wydawały nam się spokojne. Głośne były tylko małe grupki mężczyzn, targujących się zawzięcie. Odnieśliśmy jednak wrażenie, że mężczyźni nie dowierzają niektórym zwierzętom; nie podchodzili do nich za blisko, chyba tylko wtedy, kiedy było to konieczne.

Wkrótce zwróciliśmy uwagę na jednego z wielbłądów, który zdawał się przed czymś bronić; mrucał i warczał, wykręcając głowę na wszystkie strony. Jeden z mężczyzn próbował zmusić go do ukłęknięcia, a ponieważ wielbłąd nie słuchał, kupiec pomagał sobie uderzeniami kija. Wśród dwóch lub trzech pozostałych, którzy stali tuż obok zwierzęcia i coś z nim robili, szczególnie jeden rzucał się w oczy; był to mocny, krępy człowiek o ciemnej, okrutnej twarzy. Stał na rozstawionych nogach, które zdawały się wyrastać z ziemi. Energicznymi ruchami rąk przeciągał sznur przez nozdrza zwierzęcia, które to nozdrza przedtem przebił. Nos i sznur zabarwiły się krwią. Wielbłąd drżał i ryczał, potem zaczął wyć; w końcu gwałtownie podniósł się z kolan i próbował się wyrwać, podczas gdy mężczyzna coraz silniej ciągnął za sznur. Ludzie wszelkimi siłami usiłowali opanować zwierzę; w tym momencie podszedł do nas jeden z mężczyzn i łamaną francuszczyzną powiedział:

– On czuje. Czuje rzeźnika. Sprzedali go na mięso. Pójdzie do rzeźni.

– Ale jak on to może czuć? – zapytał mój przyjaciel z niedowierzaniem.

– Ten, który przy nim stoi, to rzeźnik – powiedział mężczyzna, wskazując na silnego, ciemnego człowieka, na którego zwróciliśmy wcześniej uwagę. – Rzeźnik przyszedł z rzeźni i pachnie krwią wielbłądów. Zwierzęta tego nie lubią. Wielbłąd może stać się bardzo niebezpieczny. Kiedy się wścieknie, przychodzi w nocy i zabija ludzi we śnie.

– Jak może zabić człowieka? – zapytałem.

– Kiedy ludzie śpią, przychodzi, klęka na nich i dusi ich we śnie. Trzeba bardzo uważać. Dusi ich, zanim się obudzą. Tak, wielbłąd ma bardzo dobry węch. Kiedy w nocy leży koło swojego pana, wyczuwa złodzieja i budzi pana. Jego mięso jest bardzo dobre. Trzeba je jeść. *Ça donne du courage*. Wielbłąd nie lubi samotności. Sam nigdzie nie pójdzie. Kiedy człowiek chce popędzić swojego wielbłąda do miasta, musi znaleźć inne zwierzę, żeby z nimi poszło. Musi jakieś wypożyczyć, inaczej nie zaprowadzi wielbłąda do miasta. One nie lubią być same. Byłem na wojnie. Mam tu bliźnię, widzi pan, tutaj – i wskazał na swoją pierś.

Wielbłąd trochę się uspokoił i po raz pierwszy zwróciłem spojrzenie na mówiącego. Jego pierś zdawała się wgnieciona, lewe ramię miał sztywne. Mężczyzna wydał mi się znajomy. Był niski, chudy i bardzo poważny. Zadawałem sobie pytanie, gdzie go już widziałem.

– Jak zabija się wielbłądy?

– Przecina im się tętnicę szyjną. Muszą się wykrwawić. Inaczej nie można ich jeść. Muzułmanin nie może zjeść ich mięsa, jeśli się nie wykrwawią. Nie mogę pracować z powodu tej rany. Dlatego służę tu po trosze za przewodnika. Rozmawiałem z panami w ubiegły czwartek, pamiętają panowie wściekłego wielbłąda? Byłem w Safi, kiedy wylądowali Amerykanie. Walczyliśmy trochę przeciwko Amerykanom, ale niezbyt długo, potem wcielili mnie do armii amerykań-

skiej. Było tam wielu Marokańczyków. Byłem z Amerykanami na Korsyce i we Włoszech. Byłem wszędzie. Niemcy to dobrzy żołnierze. Najgorsze było Casino. Tam było naprawdę okropnie. Tam odniosłem tę ranę. Znają panowie Casino?

Stopniowo zorientowałem się, że mówi o Monte Casino. Opisał mi tamtejsze zacięte walki; zwykle taki spokojny i odprężony, tak się przy tym wzburzył, jakby mówił o morderczych skłonnościach wściekłych wielbłądów. Był uczciwym człowiekiem, wierzył w to, co mówił. Nagle dostrzegł wśród zwierząt grupę Amerykanów i szybko zwrócił się ku nim. Zniknął tak prędko, jak się pojawił, było mi to na rękę, ponieważ straciłem z oczu i uszu wielbłąda, który już nie ryczał, a chciałem go jeszcze zobaczyć.

Wkrótce go odkryłem. Rzeźnik zostawił go samego. Wielbłąd znowu klęczał. Czasem drżała mu głowa. Krew z nozdrzy rozlała się jeszcze szerzej. Poczułem coś w rodzaju wdzięczności za tych kilka zwodniczych chwil, które mu pozostawiono. Nie mogłem jednak długo mu się przyglądać, bo znałem jego przyszły los, i szybko wymknąłem się stamtąd.

Mój przyjaciel odszedł podczas opowiadania przewodnika, rozglądając się za jakimiś Anglikami. Szukałem go, aż znalazłem po drugiej stronie placu, wśród osłów. Może tam czuł się mniej nieswojo.

W ciągu naszego dalszego pobytu w czerwonym mieście nigdy więcej nie rozmawialiśmy o wielbłądach.